

Ćwierć wieku manipulacji

9 maja 2014

Minęło 25 lat od powstania „Gazety Wyborczej”, czyli organu prasowego beneficjentów polskiej transformacji. Choć „Nowy Obywatel” nie podziela prawicowych obsesji na tle Adama Michnika i jego środowiska, już od kilkunastu lat krytykuje je za bardzo konkretne grzechy, zwłaszcza ograniczanie debaty publicznej – np. poprzez wyrafinowane uciszanie krytyków niesprawiedliwych stosunków społeczno-ekonomicznych. Z okazji rocznicy publikujemy wywiad ze Stanisławem Remuszką z maja 2001 r. opublikowany w „Obywatelu”. Jeden z współtwórców czołowej polskiej gazety wspomina w nim co najmniej dwuznaczne początki imperium medialnego Agory oraz haniebne próby uciszania przez nie swoich krytyków. Ze Stanisławem Remuszką byłym dziennikarzem „Gazety Wyborczej” i autorem książki o niej rozmawiają Tomasz Lisiecki i Remigiusz Okraska.

„GAZETA WYBORCZA”: ŁATWE POCZĄTKI, DZIWNE OKOLICE

– Zaczniemy niejako od końca: czy wydając książkę o „ciemnych stronach” „Gazety Wyborczej” spodziewał się Pan tak nikłego odzewu? Sugerował Pan w jej zakończeniu, że sam Michnik i spółka prawdopodobnie ją przemilczą. W czym upatrywałby Pan braku reakcji ze strony „Wyborczej” i innych redakcji?

– To książka, która jest i której nie ma. Jest, bo 10 000 jej egzemplarzy sprzedało się w ciągu jednego miesiąca. Nie ma, bo kilkadziesiąt największych krajowych gazet, radyj i stacji telewizyjnych publicznych i prywatnych ani słowem nie poinformowało o jej istnieniu swoich odbiorców. Czemu? Ze strachu przed tematem. Jaki jest temat? Wszystko wyjaśnia tytuł: „Gazeta Wyborcza. Początki i okolice (kalejdoskop)”. Do czasu konferencji prasowej, na której zaprezentowałem książkę nikt postronny nie mógł jeszcze wiedzieć o SAMYM JEJ ISTNIENIU; po drugie żaden, powtarzam, ŻADEN egzemplarz nie trafił w postronne ręce do chwili rozpoczęcia konferencji,

czyli do godziny 12.00 w niedzielę 19 grudnia 1999 r. Tak oto dyktowaną strachem przed potęgą „Wyborczej” znową milczenia wokół książki (a więc i pogardę wobec własnych odbiorców...) zademonstrowały solidarnie i bez żenady m.in. publiczne radio i telewizja, najbardziej ponoć obiektywny i miarodajny dziennik „Rzeczpospolita”, zajmujący się sprawami dziennikarzy prestiżowy miesięcznik „Press”, renomowane tygodniki „Polityka” i „Wprost” oraz wszyscy wielcy (czołowi) nadawcy i wydawcy prywatni w tym także ci, którzy reklamują się jako ideowi przeciwnicy Michnika (katolickie radio „Plus”, centroprawicowy dziennik „Życie” i takiż tygodnik „Nowe Państwo” czy nawet legendarny „Tygodnik Solidarność”).

– Chyba nie chce Pan powiedzieć, że książką o największej polskiej gazecie nikt się nie zainteresował?

– Na konferencję przybyło ostatecznie kilkadziesiąt osób (w większości starych przyjaciół), ale dziennikarzy zaledwie siedmioro. Lecz i to jest „za dużo powiedziane”, skoro JEDYNYM efektem konferencji okazały się: spokojna jednostronicowa depesza PAP (o ile wiem, nikt jej później nie przedrukował nawet we fragmentach), relacja w radiu WAWA, recenzje w prawicowym tygodniku „Gazeta Polska” i katolickim piśmie „Nasz Dziennik” oraz spora i rzetelna informacyjna nota w... postkomunistycznej „Trybunie”.

– Zastanawiał się Pan nad przyczyną takiego stanu? Bo teorie spisku to chyba za mało, żeby wytłumaczyć zaistniałą sytuację?

– Cała ta historia stanowi niesamowity, ale też i najlepszy dowód prawdziwości zawartego w książce opisu wpływów środowiska „Gazety Wyborczej”. Powtórzmy z naciskiem, bo ma to znaczenie kluczowe: przyczyną zbiorowego bojkotu promocyjnej konferencji oraz zbiorowego ocenzurowania przez polskie media samej informacji o książce nie mogła być znajomość jej treści!!! Pozostaje jeden jedyny logiczny powód: strach, bojaźń, lęk i obawa przed opisaną w niej „Gazetą”. Czy można coś zarzucić temu wywodowi? „Dni 19 i 20 grudnia 1999, to

prawdziwe moralne Waterloo polskiej żurnalistyki. Jako dziennikarz nie wierzyłem, że w wolnej III Rzeczypospolitej doczekam tak upokarzającego nasz zawód wydarzenia. Teraz dopiero rozumiem, jak daleko nam do starych demokracji Zachodu” pisałem, zdumiony i rozgoryczony, w skierowanym do kolegów po fachu liście otwartym z datą: „Wigilia 1999”. Okazało się, mówiąc wprost, że w moim kraju dziesięć lat po symbolicznym upadku komunizmu CENZURA ŻYJE, czego wyraziście dowiódł opisany sojusz milczenia niemal wszystkich mediów w państwie, mediów publicznych i prywatnych! Nadto nie zadziałały zaprojektowane na taką okoliczność mechanizmy bezpieczeństwa. A to już świadczy o ciężkim schorzeniu całej niezmiernie ważnej sfery życia, jaką jest komunikacja społeczna. Skąd wziąć pewność, że w tej chwili, teraz, ktoś przed nami ZNÓW czegoś nie ukrywa i nie ma jak o tym się dowiedzieć?

– Czy Pana zdaniem „Gazeta Wyborcza” wykorzystwała w dosłownym tego słowa znaczeniu kapitał zaufania, jaki otrzymała od społeczeństwa i poniekąd od elit politycznych tworzącej się w Polsce po 1989 roku demokracji?

– Żadne inne pismo nie miało ani nie mogło mieć takiego kapitału zaufania jak „Gazeta”. Nie mogło też mieć tak sprzyjających okoliczności politycznych, technicznych, finansowych i gospodarczych. „Wyborcza” wzięła wszystko, oczywiście powstały też inne pisma, no bo przecież w gospodarce wolnorynkowej nie mogła być monogazeta, tak jak „Trybuna Ludu” kiedyś. Przez okrągły rok, po ukazaniu się pierwszego numeru dzięki wytężonym staraniom członków GW nie dopuszczono do ukazania się żadnej innej gazety. Nie dopuszczono do konkurencji. To nie był tydzień czy miesiąc to był rok. W tym czasie była więc „Wyborcza”, rządowa „Rzeczpospolita” i „Życie Warszawy”. Z pewnego dystansu oceniając, można powiedzieć, że w kwietniu 1989 roku, kiedy powstawała spółka Agora nie było takich możliwości, żeby trzy osoby mogły się zrzucić po 5 złotych i założyć spółkę. Żadna

inna grupa nie mogła tak zrobić. Pozwolenie na to było wynikiem kontraktu okrągłego stołu. Również na mocy tego kontraktu „Gazeta” dostała papier, kolportaż, lokal, transport i druk. Wszystko za friko, ale mimo wszystko był to ciągle pewien kapitał społecznego zaufania. Nigdy więcej nic takiego się nie wydarzyło.

– Sugeruje Pan, że środowisko „Wyborczej” przygotowało grunt pod „miękkie lądowanie” komunistów, choćby poprzez zohydzenie idei lustracji, dekomunizacji czy reprzywatyzacji. Jak jednak doszło do tego, że największym pismem wywodzącym się z kręgów opozycji kierowali ludzie o takich właśnie poglądach i zamiarach? Ten proces nie mógł dokonać się z dnia na dzień, powstaje zatem pytanie, czy Michnik i spółka nie szykowali się do czegoś takiego znacznie wcześniej czy to możliwe, czy Pan poczynił w schyłkowym okresie „komuny” jakieś obserwacje mogące to potwierdzać? Dlaczego steru „Wyborczej” nie dzierżyli np. zwolennicy natychmiastowej i głębokiej dekomunizacji?

– Przypuszczam, że Wałęsa, Geremek, Michnik i inni przedstawiciele tzw. strony opozycyjno-solidarnościowej przy Okrągłym Stole dostatecznie przekonująco zapewnili swoich rozmówców podczas dyskrecjonalnych narad, iż żadne radykalne działania rozliczeniowe nie wchodzi w rachubę. Ci, którzy przekazywali władzę Kiszczak, Ciosek czy Jaruzelski musieli bardzo dobrze wiedzieć, komu tę władzę przekazują. Gdyby ci wytrawni gracze, którzy ryzykowali przyszłością swoją i swojego środowiska, mieli wątpliwości, czy Adam Michnik i spółka robią im krzywdę, to by im tej władzy po prostu nie przekazali. A takiej wiedzy o głębokich wewnętrznych nastawieniach ideowo-moralnych innych ludzi nie zdobywa się przecież w ciągu paru godzin czy dni. Przypomnijmy, że przygotowania do Okrągłego Stołu czyli m.in. wzajemne wybadywanie się trwały przynajmniej pół roku. Czasu było dość, by dokładnie rozpoznać „przeciwnika”. Cudzystów nie jest przypadkowy.

– Czy i na ile Pańska krytyka „rozmiękczenia” stosunku do PRL-u i jego włodarzy przez „Wyborczą” wpisuje się w szerszą krytykę samego „Okrągłego Stołu”? Z Pańskiej książki można wywnioskować, że oto nagle dobry Michnik zmienił się w złego Michnika. Tymczasem inni krytycy ówczesnej polskiej rzeczywistości wskazują, iż taka linia „Wyborczej” była pochodną linii dominującego w opozycji nurtu „ugodowego”, reprezentowanego przez Wałęsę, a krytykowanego choćby przez Andrzeja Gwiazdę. Nam ta druga wersja wydaje się bliższa prawdy, bo trudno uwierzyć w tak nagłe przeistoczenie się Adama Michnika. Chyba, że za tą zmianą linii kryłyby się pieniądze...

– Rysują się tu dwie hipotezy. Po pierwsze, wszystko od początku było zaplanowane. Adam Michnik et consortes dobrze wiedzieli, w co wchodzi i jakie z tego będą mieli profity i jak będą kolejne etapy tej rozgrywki nakręcać i podsumowywać. Podług hipotezy drugiej, nikt tego nie planował w sposób cyniczny i bezwzględny, ale ponieważ warunki stwarzają ludzi, to jak można zdobyć władzę, wpływy i majątek za friko, choć w sposób nieuczciwy, to wielu ludzi skorzysta z takiej okazji. Na całe szczęście nie wszyscy. Rozgraniczmy dwie rzeczy, ja piszę o grzechu pierworodnym „Gazety”, nie zaś o tym, co „Gazeta” zrobiła później. „Wyborcza” odgrywa olbrzymią rolę w kształtowaniu dzisiejszego stosunku społeczeństwa do historii. Zgadza się z tym wszyscy jej zwolennicy i przeciwnicy. Ta rola nie mogłaby być tak wielka, gdyby nie pierwotny monopol „Gazety”, gdyby nie ten rok bez konkurencji, ten przysłówiowy „ukradziony pierwszy milion”. Ludzie mają bardzo krótką pamięć. Niestety.

– Nam w książce brakuje szerszego ujęcia problemu. Pisze Pan co prawda, że „Wyborcza” jest organem nieformalnej partii Geremka, Michnika, Wujca i Bujaka, ale nie znajdujemy refleksji nad tym, dlaczego jest to w ogóle możliwe. Pan pisze tak, jakby stronnictwo „Gazety” była ewenementem na skalę światową, a przecież wszystkie duże pisma, w Polsce i na

świecie, są de facto organami jakichś, formalnych lub nie, partii, i trudno mówić o rzeczywiście pluralistycznym podejściu którejś z tych gazet, o równym traktowaniu przez ich redakcje wszystkich opinii i środowisk. Może zatem taka droga rozwoju „Wyborczej” od dziennika całej opozycji do pisma wąskiej grupy interesu jest naturalna, zgodna z panującymi dzisiaj trendami?

– Takie pokusy ma chyba każda grupa. Ale praktyczne działanie w konkretnej sytuacji zależy od moralno-ideowego kośca, od wizji obywatelskości i patriotyzmu, którą mieli twórcy „Gazety”. Oczywiście proszę pamiętać, że przykładam tutaj swoją miarę i mówię podług tego czym, dla mnie jest patriotyzm. Panów porównanie jest ahistoryczne. Prasa światowa zawsze rozwijała się w warunkach konkurencji i wolności, i o to, że jedna gazeta zdobyła przewagę nad inną w uczciwej walce o czytelnika, nikt nie może mieć pretensji. W Polsce roku 1989 i 1990 było inaczej. „Wyborcza” powstała ze środków i możliwości ofiarowanych jej na zasadach monopolu przez ówczesne władze PRL. Ale grupie Michnika przydzielono nie prywatny papier Jaruzelskiego, dano do dyspozycji nie prywatną drukarnię Kiszczaka, zaproponowano nie prywatny lokal redakcyjny Cioska, itp., itd. Wszystko to było własnością społeczną. Wykorzystując tę własność oraz wymierny, ponieważ wyrażany poprzez kupowanie „Gazety”, kapitał społecznego zaufania, „Wyborcza” w ciągu kilku miesięcy dorobiła się gigantycznego majątku, po czym tym majątkiem jej kierownictwo natychmiast uwłaszczyło się prywatnie, niczym klasyczna spółka nomenklaturowa. To właśnie uważam za nieuczciwe. To była zwykła, a raczej przeciwnie: właśnie niezwykła kradzież, rzecz jasna nie w sensie prawnym, tylko moralnym. To był największy w dziejach medialnego świata skok na kasę i władzę. Trudno nie nazwać tego ewenementem. Co zaś się tyczy ewolucji programowej, to pozwolą Panowie, że zacytuję swą książczyne (str. 81): „Adam i jego team nie dostali „Gazety” na własność, za zasługi (olbrzymie i niepodważalne), w charakterze królewskiego serwitutu, lecz jedynie POD ZARZĄD, W ARENDĘ,

niczym agent podejmujący się prowadzenia restauracji. Otóż skoro restauracja miała wykarmić cały solidarnościowy naród, nie wolno było jej dzierżawcy-monopoliście narzucać konsumentom żadnej konkretnej diety. Odwrotnie, poprzez bogato zróżnicowane menu winien on zaspokajać większość różnorodnych gustów. Uważam, że nie jest w porządku stawiać głodnych ludzi przed wyborem: albo jecie to, co ja lubię, albo idźcie naprzeciwko, do komunisty (...)" I dalej: „Do czasu najbliższej elekcji parlamentarnej „Gazeta” powinna jedynie zapewnić społeczeństwu optymalne warunki wyboru poprzez RÓWNORZĘDNE prezentowanie licznych i zróżnicowanych opinii, głosów, projektów, programów. Stało się, łagodnie mówiąc, jakby inaczej...”

– Chcielibyśmy, aby powiedział Pan coś więcej o dwóch charakterystycznych cechach „Gazety Wyborczej”, czyli starannym przemilczaniu niewygodnych faktów i opinii, oraz o obdarzaniu gdy już czegoś przemilczeć się nie da wszelkich swych adwersarzy etykietkami „oszołomów” itp. Jak to wyglądało w czasach, gdy jeszcze pracował Pan w „Gazecie Wyborczej”? A może podobne postawy pojawiały się już w łonie prasy podziemnej?

– Może to jest kwestia doboru ludzi. Trzon pierwszej redakcji „Gazety” stanowili ludzie z „Tygodnika Mazowsze”. Do tego zaproszono innych dziennikarzy, byłem wśród nich, choć do dziś nie wiem dlaczego. Potem przeprowadzano wśród nich staranną selekcję. W redakcji, w zespole, zauważyłem, że większość dziennikarzy niemal ze szczerzą zručnością „domyślała się”, o jakich tematach należy pisać, a które lepiej pomijać milczeniem; jeśli pisać, to jak pisać; albo kto dla zwierzchności jest „be”, a kto „cacy”. Nie było oczywiście żadnych oficjalnie sformułowanej „linii pisma”, żadnych „zapisów” czy „wytycznych”. Po prostu „było wiadomo”, że są ludzie albo sprawy, od których jeśli już w ogóle się o nich pisze trzeba się odciąć na dzień dobry. Mam taki pomysł, byłaby z tego bardzo ciekawa praca magisterska a może nawet

doktorska: trzeba by przeprowadzić analizę statystyczną nazwisk, które się pojawiały w „Gazecie” i kiedy zaczęły znikać z jej łamów.

– Jak często polskie media miały pełnić szacowną rolę „czwartej władzy” próbują być „pierwszą władzą”?

– Ogromnym niepokojem napawają mnie jako obywatela próby wkraczania mediów w kompetencje innych władz. Uważam, że prasa, radio i telewizja powinny pełnić rolę jedynie informacyjną, kontrolną i opiniotwórczą NIC POZA TYM. Powody są proste: ludzie mediów nie pochodzą z demokratycznej elekcji, po drugie w odróżnieniu od władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej, media za swą działalność nie ponoszą praktycznie żadnej prawnej ani politycznej odpowiedzialności. Niedawnym i doprawdy dramatycznym dla mnie (jako dziennikarza, jako czytelnika i przede wszystkim jako obywatela właśnie) przykładem prasowego wyręczania polityków było doprowadzenie przez „Rzeczpospolitą” do dymisji wojewody śląskiego Marka Kempskiego.

– Kto mógłby ewentualnie zagrozić hegemonii środowiska „Wyborczej”? A może jest szansa, że pod wpływem krytyki dokona się „nawrócenie” jej twórców?

– Trudno uwierzyć, że ci sami ludzie z kierownictw najważniejszych polskich mediów, którzy aktywnie lub biernie biorą dziś udział w wyrafinowanym systemie nieformalnej, lecz skutecznej neocenzury, albo skrupulatnie dbają o poprawność medialnych nazwisk, albo sprawują sądy bez odpowiedzialności że ci ludzie, nagle, oświeceni Duchem Świętym, zaniechają swych Orwellowskich praktyk i z dnia na dzień zaczną społeczeństwu służyć jak należy. Przypuszczam raczej, że świadomi uczestnicy istniejącego systemu niewidzialnych powiązań, nieformalnych ustaleń i niepisanych sojuszy medialnych zrobią wszystko, by zachować korzystny dla siebie status quo. Właśnie dlatego obecna sytuacja wymaga kroków na tyle śmiałych i skutecznych, by wręcz WYMUSIŁY poprawę złego

stanu rzeczy.

– Co Pan konkretnie ma na myśli na przykład?

– To, rzecz jasna, temat na oddzielną rozmowę, więc tu, w największym skrócie, powiem tylko, iż widzę cztery takie melioracyjne przedsięwzięcia. Oto ich hasłowe wyliczenie: Po pierwsze jeśli nowa Rada Etyki Mediów ma cieszyć się autentycznym i powszechnym autorytetem środowiskowym nie może być powołana jak dotychczasowa (przez pracodawców), lecz trzeba ją wybrać ODDOLNIE, przez szarych dziennikarzy, przez ogół ludzi pióra, mikrofonu i kamery. Po drugie obok Centrum Monitoringu Wolności Prasy powinno jak najszybciej zaistnieć coś w rodzaju Centrum Monitoringu RZETELNOŚCI Prasy, które, rozpatrując uwagi czytelników, radiosłuchaczy, telewidzów i samych dziennikarzy, pełniłoby rolę swoistej „książki skarg i zażaleń”, rolę Rzecznika Praw Odbiorcy, a uogólnione wnioski regularnie przedstawiałoby kierownictwom mediów, parlamentarnym komisjom oraz opinii publicznej. Po trzecie należy rozważyć ewentualność wprowadzenia ustaw antytrustowych, które zabraniałyby posiadania przez ten sam medialny koncern więcej niż na przykład 25% rynku odbiorców danej kategorii. Po czwarte musi powstać i trwale funkcjonować konkretne miejsce środowiskowej i obywatelskiej dyskusji o krajowych środkach masowego przekazu. Nasuwa się tu szereg pomysłów, ale za jeden z najważniejszych uważam jak najszybsze założenie wolnej od cenzury, od personalnych uprzedzeń i firmowych powiązań, internetowej „Gazety Dziennikarskiej”, w której rzeczowy głos mogłaby zabierać każda osoba zatroskana stanem polskich mediów.

– Na koniec chcielibyśmy zapytać o to, jaką radę dałby Pan, doświadczony dziennikarz i były pracownik „Gazety Wyborczej”, młodym adeptom dziennikarstwa, którzy chcą pisać prawdę a jednocześnie marzy im się praca w jednej z największych polskich gazet, w zespole dowodzonym przez Adama Michnika?

– Odpowiedzialne zadanie. Powiem najszczerzej jak umiem. Po

pierwsze, trzeba sobie jasno i uczciwie powiedzieć, że dziennikarstwo to drugi pod względem długowieczności zawód świata (jaki jest najstarszy wszyscy wiemy). Po drugie, trzeba równie świadomie wyznaczyć sobie taki prywatny poziom kompromisu, powyżej którego po prostu rezygnuje się ze zrobienia kariery w danej redakcji. Po trzecie, trzeba mieć dość siły, by w razie potrzeby to wewnętrzne postanowienie zrealizować. Dziennikarz, który konsekwentnie przyjmuje taką postawę zawodową i poniekąd życiową jest dla mnie osobą godną prawdziwego szacunku.

– Dziękujemy za rozmowę.

Ze Stanisławem Remuszką rozmawiali Tomasz Lisiecki i Remigiusz Okraska

Data i czas wywiadu: Warszawa, 25.05.2001 r.

Źródło: [Nowy Obywatel](#)